

Małgorzata Półrola

"In hoc signo vinces" albo rzecz o starych łódzkich dowcipach

Acta Universitatis Lodzianis. Folia Germanica 5, 303-317

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Małgorzata Półrola**

„IN HOC SIGNO VINCES”¹
ALBO RZECZ O STARYCH ŁÓDZKICH DOWCIPACH

W 1913 r. ukazała się w Pabianicach w wydawnictwie Augusta Grüninga publikacja zatytułowana *'Ne Mütze voll Witze aus Lodz und Pabianice* (co można by przetłumaczyć na polski, zgodnie z intencją autora, jako „Głowa [czapka] pełna wiców z Łodzi i Pabianiców” [sic!]). Jej autor anonuje się jako ten, który nie tylko dokonał wyboru prezentowanych tekstów, ale również – jak pisze we wstępie – sam „był świadkiem” niejednego z opisywanych (czy też „opowiadanych”) tu zdarzeń. Wprawdzie ukrywa się za świetnie dobranym pseudonimem Wilfried Spectator (czyli etymologicznie: „pokojowo nastawiony, posiadający dobrą wolę obserwator”), ujawnia jednak swoją prawdziwą tożsamość: to pochodzący z Pabianic Reinhold Piel, istotnie niezwykle wnikliwy obserwator, narodowości niemieckiej, mentalnie zapewne typowy przedstawiciel wielonarodowego i wielokulturowego tygla, jakim na początku XX w. była Łódź, podobnie zresztą jak pobliskie Pabianice, będące niejako drugą Łodzią w miniaturze.

W historii tego niewielkiego miasta-satelity łódzkiej metropolii nietrudno odnaleźć daleko idące podobieństwa do losów błyskawicznie rozwijającej się fabrycznej Łodzi. Z dokumentów (Adamek, Nowak 2005) wynika, że pierwsze wzmianki o niemieckich osadnikach w Pabianicach pochodzą z 1793 r. Kiedy po drugim rozbiórce Polski miasto znalazło się na terenie zaboru pruskiego, przybyła tu i osiedliła się liczna rzesza pruskich urzędników. Druga fala napływu ludności niemieckiej przypadła na lata dwudzieste XIX w. Korzystne położenie Pabianic i dobre warunki geograficzne sprzyjały

* Dr Małgorzata Półrola, Katedra Literatury i Kultury Niemiec, Austrii i Szwajcarii, Uniwersytet Łódzki. Niniejszy artykuł jest rozszerzoną wersją tekstu zamieszczonego w *Tyguł* 2008, nr 7–9 (151–153).

¹ Łac. „Pod tym znakiem zwyciężysz”. Według teologa i historyka kościoła Euzebiusza z Cezarei (263–340), cesarz rzymski Konstantyn Wielki (280–337) w czasie marszu na Rzym miał ujrzeć na niebie świecący krzyż z greckim podpisem „en touto nika” (tym zwyciężysz), po czym 23 października 312 r. pod Saxa Rubra w pobliżu Rzymu pokonał swego przeciwnika, Maksencjusza.

rozwojowi włókiennictwa i tkalnictwa w bliskim sąsiedztwie wielkiej Łodzi. Także Pabianice otrzymały wkrótce status miasta fabrycznego, co zachęciło kolejnych osadników, zwłaszcza że na starcie uzyskiwali wydatną pomoc w postaci darmowych parceli budowlanych i kredytów. Na lewym brzegu rzeczki Dobrzyńki powstało wkrótce całe niemieckie osiedle, nazwane Nowym Miastem. Z danych statystycznych wynika, że już w 1860 r. w Pabianicach mieszkało prawie 1500 Niemców, którzy stanowili wówczas aż 29% wszystkich mieszkańców miasta. W 1913 r. odnotowano najwyższą liczbę mieszkańców narodowości niemieckiej, mianowicie prawie 7000 osób.

Ma Łódź Izraela Poznańskiego, Grohmana i innych, ale i Pabianice posiadają swe wielkie i znane, niemieckie rody fabrykanckie. Najbardziej zasłużone dla rozwoju przemysłu włókienniczego były tu rodziny Krusche i Enderów (Adamek 1998; Katalog). Gottlieb Krusche przybył do Pabianic w 1825 r. z Saksonii. Już w 1850 r. jego syn Benjamin sprowadził do odziedziczonych po ojcu manufaktur pierwszą maszynę parową. W 1872 r. wspólnikiem Benjamina Kruschego został (również Saksończyk) Karl Ender. Od 1874 r. pabianickie manufaktury funkcjonowały jako powszechnie znane zakłady „Krusche & Ender”. Po utworzeniu w 1899 r. spółki akcyjnej jej kapitał zakładowy wynosił 3,5 miliona rubli. W 1911 r. firma zatrudniała ponad 4 tysiące robotników i produkowała rocznie ponad 20 milionów metrów tkanin. Trzecim pod względem znaczenia rodem fabrykanckim byli tu Kindlerowie. Założona przez Rudolfa Kindlera tkalnia materiałów wełnianych i półwełnianych zatrudniała w 1879 r. ponad 600 robotników, zajmując drugie miejsce w branży wełnianej w całej Kongresówce.

Także i tu – podobnie jak w Łodzi – niemieccy fabrykanci angażowali się w działalność społeczną i charytatywną, zakładając dla swych pracowników różne instytucje użyteczności publicznej (m. in. kasy chorych, domy dla robotników, szkołę powszechną, bibliotekę przyfabryczną, darmową łącznicę dla robotników czy szpital fabryczny na 50 łóżek wraz z ambulatorium). Mniejszość niemiecka rozwijała także aktywną działalność kulturalną, edukacyjną i sportową. I tak np. już w 1852 r. utworzono w Pabianicach Obywatelską Gildę Strzelecką (*Bürgerschützengilde*), Towarzystwo Sportowe (które posiadało honorowe członkostwo Stowarzyszenia Sportowego „Amicitia” w szwajcarskiej Bazylei) oraz Męskie Towarzystwo Śpiewacze, a podczas pierwszej wojny światowej powołano do życia koedukacyjne Pabianickie Gimnazjum Niemieckie.

Podobnie jak w Łodzi, pokojowa koegzystencja polsko-niemiecka dobiegła końca w latach trzydziestych XX w., nabierając po 1933 r. nierzadko znamion otwartej wrogości. Przed wybuchem drugiej wojny światowej istniały w Pabianicach aktywnie działające bojówki nacjonalistyczne, które zdelegalizowano w 1939 r., kiedy to rozwiązano również Niemieckie Gimnazjum oraz wszelkie niemieckie stowarzyszenia polityczne i towarzystwa sportowe. 8 września do Pabianic wkroczyły wojska hitlerowskie.

Wróćmy jednak do publikacji wspomnianej na początku niniejszego tekstu. Motywacją do jej napisania była niewątpliwie chęć ocalenia od zapomnienia dawno minionych lat i przywołania pamięci osób, których próżno by dziś szukać zarówno w Łodzi, jak i w tytułowych Pabianicach. Stąd elegijny i nostalgiczny ton wstępu, stąd także retoryczne pytanie: „Wesołkowie, których tak często spotykałem, ludzie o promiennych twarzach, o głowach pełnych facecji i dowcipów – gdzie się podziewacie? Wiele z tego, co mi po was zostało, znalazło miejsce w tej książeczce” (s. 5).

Jej zawartość jest jednak całkiem nietypowa – jest to bowiem zbiorowy portret mentalności człowieka, określanego potocznie mianem „łodzermensza”² (czy może także „pabianicermensza”). Choć określenie to funkcjonuje obiegowo od dawna, jest dalekie od jednoznaczności, a jego interpretacja semantyczna do dziś budzi kontrowersje. Jak pisał świetny znawca zagadnienia, Jerzy Urbankiewicz (1995, s. 101–105, 139–147):

[...] chyba sam Reymont zdecydował o trwałości określenia, wprowadzając to słowo [do powszechnego użycia], choć nie on je wymyślił, a tylko zapamiętał z kawiarnianych rozmów. [...] od co najmniej lat 1870-tych określenie „łodzermensz” było w obiegu, a Tuwim sprzął to pojęcie ze społecznością żydowską Łodzi. Kiedy się jednak głębiej nad zjawiskiem „łodzermensza” zastanowić, to niewątpliwie wpływ mentalności żydowskiej na obraz „człowieka łódzkiego” był wyraźniejszy niż innych narodowości, ale do kategorii tej należeli też Niemcy,

² Mianem łodzermensza określano kogoś, kto w nadejściu nowych czasów, w modernizmie z jego uprzemysłowieniem upatrywał wielkiej szansy na zrobienie kariery, niekoniecznie zresztą w iście „amerykańskim” stylu, czyli od pucybuta do milionera. „Dla żyjących w tym mieście ludzi, pragnących spełnić swe marzenia, nie miało większego znaczenia, czy byli Polakami, Żydami, czy też Niemcami. Bezprzykładne kariery Gayera, Scheiblera, Heinzla, Kunitzera, Grohmanna czy Biedermanna, którzy przybyli do miasta jako zwykli (niemieccy) tkacze, inżynierowie bądź wykwalifikowani robotnicy, a wkrótce zgromadzili nieprawdopodobnie wprost majątki – najlepiej pokazywały, jak wielkie szanse kryło w sobie to miasto. Także w całej masie żydowskich imigrantów znaleźli się tacy, którym udało się dotrzeć na sam szczyt i stać się prawdziwymi (multi)milionerami, jak np. Poznański – najbogatszy łódzianin po Scheiblerze – czy Silberstein, Prussak, Rosenblatt, bracia Jarocińscy albo Oszer Kon. Nawet jeśli większość mieszkańców Łodzi z największym trudem wiązała koniec z końcem, była nieustannie konfrontowana z faktem, że potencjalnie zawsze istniała tu możliwość zrobienia kariery” (Schuster 2008). Jeśli jednak wszędzie indziej poza Łodzią (sic!) pod pojęciem „łodzermensza” rozumiano głównie typ bezwzględniego karierowicza, który dla bogactwa gotów był wyrzec się swych korzeni i zerwać ze swą tradycją rodzinną i narodowościową, to w samym mieście bycie prawdziwym „łodzermenszem” uchodziło za szczyt ambicji. Podobnie pojęcie to wyjaśnia niemiecki historyk i dziennikarz, Karl Schlögel (1993, s. 126–138), który w rozdziale poświęconym Łodzi (*Suche nach dem 'Gelobten Land'*) pisze m. in.: „Łodzermensz był [...] przekonany, że przynależność do tego miasta liczy się bardziej niż przynależność do własnych »korzeni«. Łodzermensz dorastał wraz z [owymi] kryzysami, a jego styl bycia narodził się z kompromisu. Obok licznych bóstw, które każdy wielbił na swój sposób, istniał tu także ten jeden jedyny bóg, któremu cześć oddawali wszyscy bez wyjątku: sukces. Ponieważ wszyscy byli przybyszami z zewnątrz, znaczenie miało nie pochodzenie, ale to, ile kto osiągnął!” [dłm. z niem. M.P.].

Polacy, a nawet Ormianin Angielewicz, który „robił” w chałwie, miał swoje cechy specyficznie ormiańskie, ale i to coś nieuchwytnego, łódzkiego, co mu kazało Piotrkowską bardziej kochać niż Ararat³.

W 1904 r. Stefan Górski (1973, s. 41–48) zapisał w swojej (jednej z pierwszych) monografii, poświęconej Łodzi, takie oto znamienne zdania:

Łódź – mimo że nie stanowi ani kraju ani państwa, ma swoją własną narodowość – są to z niemiecka zwani łodzermensze. Pierwotną ich ojczyzną były Niemcy, dłuższe od kilku pokoleń przebywanie w kraju naszym przeobraziło w końcu ich patriotyzm germański, lecz nie pociągnęło do narodowości polskiej. Są to ludzie przeważnie bez zasad politycznych – ojczyznę znaleźli na gruncie łódzkim, tu zdobyli byt i stanowiska, przywiązali się do miasta i dzisiaj są bardzo pożytecznymi [...] łodzermenszami. [...] Gdyby zapytać o własną narodowość ogół mieszkańców Łodzi, jest rzeczą pewną, że znaczny procent nie umiałby powiedzieć, do jakiego społeczeństwa ma się zaliczyć. W życiu potocznym sami nazywają siebie łodzermenszami i to im najzupełniej wystarcza. Mimo wszystko pośród wielu tych ludzi łódzkich daje się zauważyć zwrot ku dość szybkiej z nami asymilacji, a dzieci łodzermenszów niekiedy otwarcie nazywają już siebie Polakami.

W podobnym duchu postrzega łodzermensza w swych wspomnieniach łódzki Niemiec Karl-Heinz Göppert (1999, s. 159):

Na przestrzeni dziesięcioleci łodzianie pracowali, cierpieli i pomagali sobie wzajemnie, niezależnie od tego, czy byli rzemieślnikami, robotnikami czy prostymi ludźmi, niezależnie od tego, jakiej byli narodowości i jakiego wyznania. W ten sposób narodził się „łodzermensch”, któremu zazdrozczono, ponieważ był pracowity i umiał sobie radzić w życiu. W wielonarodowościowej Łodzi wszyscy wyrastaliśmy myśląc demokratycznie. Tego rodzaju społeczność mogła przetrwać tylko, jeśli nie myślano o ludziach w kategoriach narodowościowych, nieważne czy było się Polakiem, Niemcem, Żydem czy Rosjaninem. Wszyscy musieli polegać na sobie wzajemnie. Łódź była azylem dla wszystkich, którzy tutaj mieszkali. Pochodzenie nie miało żadnego znaczenia [...].

³ Ten i kolejne cytaty pochodzą z tegoż wydania. Dalej Urbankiewicz pisze: „Julian Tuwim uznał istnienie »łodzermensza« za fakt”, przytaczając znamienne Tuwimowski cytat: „Gdy fabryki łódzkie dostają jakieś większe zamówienie, gdy zjawia się koniunktura – zaczyna tam świecić słońce, zakwitają bzy, słowiki turkocą w Helenowie, błoto się mieni spektralnymi kolorami, a ospali łodzermensze stają się uebermenschami, odzyskując gibkość ruchów, żywość spojrzeń, bystrość myśli. Pietryna wre. Grynbergi, Grynfeldy, Grynsteiny i Goldbergi uwijają się po mieście jak opętani, wyskakują z dorożek, wskakują do kawiarni, telefonują, zapisują, telegrafują, jadą, wracają, znowu jadą, notują, obliczają: »Fynef und cwancyk... zyben und drasyk... hundert achyk..., gemacht, zrobione, to ja do niego zadzwonię, panie Grynholc, leć pan do Grand Café, ja pójde tymczasem do banku, hallo, panie Goldberg, no co? hallo, panie Grynspan, załatwione?« Sto tysięcy skaczących, nieprzytomnych Grynmacherów wprawia Łódź w drgawki geszeftu. Ten febryczny stan łódzkiej ulicy ma fachową nazwę: »Ruszyło się«”.

W opinii niektórych świadków historii typowy „łodzermensz” wywoływał jednak raczej jednoznacznie negatywne konotacje. W jednej z takich wypowiedzi czytamy: „Przed laty Reymont puścił w świat złe słowo: łodzermensz. Na określenie sprytu i bezwzględnej chciwości w robieniu pieniędzy. Łodzermensz to potworek kapitalizmu, człowiek bez ojczyzny, wzyty z wszelkich skrupułów. Istotnie, byli tacy w Łodzi [...]” (Urbankiewicz 1995)⁴.

Nie brakowało jednak w tym sporze o wizerunek „łodzermensza” także innych, ekstremalnie odmiennych wyobrażeń. W popularnym przedwojennym czasopiśmie *Rozwój* zamieszczono przykładowo opinię, iż „łodzermensz” to „hakatysta”, mający ciągoty do wszystkiego, co zagraniczne: „Tylko czynią to przeważnie ci z rodzaju łodzermenschów, dla których wszystko jest »ganz pomadek«, co tylko nie pachnie geszeftem, lub ci zaciętrzewieni hakatyści, w których mniemaniu Łódź jest składową częścią, a przynajmniej być powinna, Alldeutschlandvaterlandu” (Urbankiewicz 1995)⁵.

Natomiast znany w Łodzi międzywojennej społecznik, Leon Gajewicz, rozumiał tę kwestię wręcz odwrotnie. Pod datą 28 lipca 1932 r. pisał w *Kurierze Łódzkim*: „W każdym razie było to miasteczko niezwykłe z jego ukrytą po fabrycznych zakamarkach inteligencją i sławnymi patriotami, czyli łodzermenschami” (Urbankiewicz 1995)⁶.

⁴ Jest to opinia Grzegorza Timofiejewa, potomka rosyjskich mieszkańców Łodzi, którego ojciec był kapitanem pułku Jekaterynburskiego, a matka kierowniczką rosyjskiej szkoły rządowej. Po rewolucji rodzina wróciła do Łodzi, a syn Grzegorz uległ polonizacji (ukończył m. in. filologię polską). Wzorem innych „łodzermenszów” „wsiąknął w polską glebę, ale poddał się temu procesowi świadomie” (Urbankiewicz 1995).

⁵ Całkowicie odmiennie stanowisko prezentuje natomiast inny znawca problemu, Arnold Mostowicz (1999, s. 10–13), który pisze: „Słowo łodzermensch ma takie samo znaczenie w języku niemieckim, jak i w jidysz. Ale nie ma się co łudzić. Termin ten [...], pod którym rozumie się człowieka ciemnych często interesów, trochę na bakier z prawem, myślącego wyłącznie o zarobku, o zysku za każdą cenę – dotyczy wyłącznie Żyda. Łódzkiego Żyda. Lecz jeśli zastanowić się głębiej nad społeczną, czy raczej wynikającą ze stosunków narodowościowych Łodzi, konotacją tego terminu, to łatwo dojść do wniosku, że zaliczyć go trzeba do owych słów-kamufaży, których celem jest przesłonięcie ich antysemitycznej treści, antysemitckiego znaczenia. [...] Notabene nietrudno było udowodnić, że termin łodzermensch, skupiający określone niechęci czy awersje społeczne, został ukuty pod koniec wieku dziewiętnastego w wyniku zetknięcia się szlacheckiej mentalności ze zjawiskiem rodzącego się tutaj w Łodzi najbardziej autentycznego, drapieżnego kapitalizmu, gdzie indziej w Polsce – w takiej postaci – niespotykanego. Było to spojrzenie pięknoduchów, którzy dostrzegali całe immanentne zło tego, co rozwijało się tak błyskawicznie w Łodzi, a nie dostrzegali olbrzymiego postępu technicznego i gospodarczego, który z sobą system ten niósł!”

⁶ Bardzo interesujące jest również spostrzeżenie Urbankiewicza (1995), że mentalność „łodzermensza” przekładała się także na nawyki językowe, ponieważ „[n]jktóre wypowiedzi »łodzermenszów« zyskiwały sobie powszechne uznanie, wchodziły w obieg i były powtarzane w podobnych sytuacjach. Oto replika takiego, którego interesy stoją nieźle i gdyby chciał, mógłby dać pożyczkę: »Jak mówię, że nie dam, to nie dam. Jak mówię, że dam, to... mówię«. A oto możliwa odpowiedź tego, któremu odmówiono: »Nie możesz mi pan pożyczyć tych głupich sto złotych, nie możesz mi pan podżyrować weksła, to powiedz mi pan chociaż, która godzina [...]«”.

Niezależnie od tego, do jakiej wykładni tego spornego terminu byłby skłonny przyznać się współczesny Łódzianin, lektura wspomnianego zbioru starych łódzkich dowcipów może mu pomóc w lepszym zrozumieniu tego, jedyne w swym rodzaju, fenomenu. Portret zbiorowy „łodzermensa” zaprezentowany tu został bowiem na przykładzie specyficznego poczucia humoru wieloetnicznej i wielokulturowej zbiorowości, w której oczywiście nie mogło się obyć bez różnego rodzaju napięć i konfliktów. Jak świat światem, ludzkość posiłkowała się w tym celu często uniwersalną bronią – poczuciem humoru, dowcipem, kpina czy odwróceniem perspektywy. Jednym słowem postrzeganie rzeczywistości, niejednokrotnie tragicznej, przez pryzmat śmiechu, to jedna z najpopularniejszych metod „oswajania” odrębnych czy wręcz obcych elementów kulturowych.

Teoretycznie dowcip funkcjonuje (w tym przypadku) oczywiście jako „wentyl bezpieczeństwa” lub „tuba” stereotypów, ale ma również swoją drugą stronę. Ukazywanie odrębności poprzez medium „lekkiej, niezobowiązującej narracji”, której automatycznym następstwem jest spontaniczny, a więc odruchowy śmiech, wyłączający na jakiś czas kontrolne światło rozumu, kryje w sobie niebezpieczeństwo pogłębienia stereotypowych wyobrażeń. Fakt ten uświadamia sobie – ale i nam, czytelnikom – również autor zbioru, pisząc we wstępie:

Decydując się na udostępnienie opinii publicznej jakiejś części humoru i dowcipów, opowiadanych w Łodzi ale i na temat Łodzi [...], mam całkowitą świadomość, że nie każdy właściwie zrozumie moje intencje: Żydzi okrzykną mnie antysemitą, Polacy napiętnują jako hakatystę, a Niemcy zapewne odwrócą się ode mnie zarzucając mi, że ich ganię i uprawiam krytykanctwo. Ale niechże i tak będzie! Ja chcę tylko pokazać, że tu, u nas, istnieje pilna konieczność łagodzenia narodowych przeciwieństw; że istnieje wielka potrzeba, by niezależnie od tego, do jakiej narodowości się należy, wyciągnąć ku innym pomocną dłoń (s. 7).

Tyle tylko, że niekoniecznie w sensie dosłownym, a raczej metodą „odbrazowania” i subtelnego „oświecenia” poprzez przywołanie przykładów, które – zależnie od stopnia wrażliwości – mogą uruchomić mechanizm autokorekty.

Dowcip, jako jeden z przejawów ironii, to nie tylko „żywiół artysty”, ale i forma intelektualizmu, jak mniemał Thomas Mann, jeden z największych ironistów XX w., definiując ironiczny autosceptycyzm jako jedną z postaci moralności, jako „osobistą etykę” i „wewnętrzzą politykę”. Już w XVIII w. Hobbes opisywał komizm jako subiektywne uczucie osobistej dominacji, powstające w nas, gdy nagle spostrzegamy niedoskonałość drugiego człowieka. Ojciec psychoanalizy Sigmund Freud dostrzegał różnicę między komizmem i humorem. Według niego, komizm, działający z zamiarem krytycznym lub rozwesalającym, adresowany jest do innej osoby, podczas gdy humor, wywołujący efekt autowyzwolenia, odnosi się do samego podmiotu. Dowcip

rodzi się jako bezpośredni efekt z zamiaru ironicznego przedstawienia rzeczywistości i zależnie od sposobu, w jaki jest podawany, pozwala się opisać za pomocą przymiotników – może być „intelektualny”, „przerysowany”, „dosadny”, „zawołowany”, „wysublimowany” itd. Jako „pomysł” jest jednym z przejawów talentu intelektualnego, natomiast jako „efekt” zakłada wystąpienie pomyłki lub zaskoczenia, względnie uprawiany jest z zamiarem wyszydzenia. Tym, co zabawne w dowcipie, jest zawsze rezultat pewnego charakterystycznego, czy raczej nietypowego, użycia języka – wszystko bowiem, co odbiega od normy zarówno w kontekście struktur werbalnych, jak i tworzywa językowego, może pociągnąć za sobą efekt komiczny. O tym wszystkim przekonują zebrane w omawianej publikacji stare dowcipy – krótsze i dłuższe, lepsze i gorsze, bardziej lub mniej „ponadczasowe”, w tym czy innym stopniu „historyczne”.

Zbiór *'Ne Mütze voll Witze aus Lodz und Pabianice* miał spełnić jedno wielkie życzenie jego autora: „[...] jeśli wam, kartom tej książki, uda się zjednoczyć ludzi, jeśli uda się wam wskazać na te właściwości charakterów, które są przeszkodą na drodze do pojednania [...] to spełniłyście swe zadanie!”. Trudno mówić o wyraźnym założeniu koncepcyjnym tomu, aczkolwiek swego rodzaju „spointowaną” podpowiedzią dla czytelnika, jak ma się orientować w wielości (68 s.) zaprezentowanych tekstów, jest rodzaj motto zamieszczonego na początku każdego z nich. Są to więc trafne kryptocytaty, slogany, retoryczne pytania lub jednowyrazowa charakterystyka postaci. Nie jest natomiast całkiem jasne, czy bohaterami opowiadanych tu facecji, dykteryjek, dowcipów lub klasycznych wiców są Niemcy, czy też Polacy. Tylko w odniesieniu do Żydów wątpliwości te znikają – o tożsamości tychże informują czytelnika nie tylko typowe imiona i nazwiska, ale także dowcipnie podana warstwa językowa, a więc charakterystyczne „żydlaczenie”. Również w odniesieniu do niemieckich bohaterów swych anegdotek autor zbioru zachowuje daleko idącą wierność lingwistyczną – ich portret, naskikowany poprzez medium językowe, można stosunkowo łatwo zidentyfikować jako (zapewne) tzw. *Lodzerdeutsch*, czyli łódzką odmianę niemiecką. Stąd bardzo dowcipny pomysł „tłumaczenia” dłuższych tekstów z „niemieckiego” na „niemiecki” (czyli na wersję literacką). To bezspornie wielką pomocą dla czytelnika, posiłkującego się literacką niemiecką, ale i – potencjalnie – wdzięczny obiekt badań językoznawczych.

Nazywanie opisywanych tu bohaterów ich prawdziwymi nazwiskami byłoby jednak – wobec zamysłu autora tomu – zbyt banalne. Dlatego zapewne nie rozpoznamy wśród portretowanych postaci konkretnych mieszkańców Łodzi czy Pabianic, ale nie w tym rzecz, chodzi przecież o pokazanie typów ludzi, stanowiących o charakterze miasta. Dlatego też nie dziwią nas prześmieszne nazwiska postaci, będące każdorazowo – same w sobie – grą słów i dowcipem *par excellence*. Bo czyż nie są zabawne nazwiska, takie jak

choćby Mojsze Geschwindmacher (*szybki macher*), Szlojme Feingeruch (*dobry węch*), szef firmy pan Strohdrescher (*mlódcy słomę*), adwokat Kniffmeier (*stosujący chytre sztuczki*), pan Klaperdyk, tj. Klapperdick (*gruba grzechotka* albo *gruby grzechotnik*), jego żona Klapperdünn (*chuda grzechotka* albo *szkielet*), aktor Guido Pechmeier (*pechowiec*) czy powód Kraftmeier (*osilek*)?

W przypadku tomu, o którym mowa, jak najbardziej sprawdza się powiedzenie: Jeśli chcesz zepsuć najlepszy dowcip, przetłumacz go na swój ojczysty język. Pokażmy to na konkretnym przykładzie, zaczerpniętym ze zbioru (s. 14):

Die böse Sieben oder wie es in der Zeitung „Das Echo“ aussieht
(Sekutnica albo jak to wygląda w gazecie *Echo*)

Wer ist der Herr Redaktor, Redaktor? – Tor!
(Kim jest pan redaktor, redaktor? – Głupcem!)
Was bringen die Herren Korrespondenten? – Enten!
(Czego dostarczają panowie korespondenci? – Kaczek!)
Was bekommen die Herren Volontäre für 'ne Lehre? – Leere!
(Jaką nauzkę dostają panowie wolontariusze? – Puste kieszenie!)
Wie wird erledigt der Arbeit Schwere? – Schere!
(Jak się załatwia mozolną pracę? – Przy pomocy nożyczek!)
Giebt's da einen frohen Wettkampf der Geister? – Kleister!
(Czy toczy się płodny spór intelektualny? – Tak, przy pomocy kłajstru!)
Was machen die Abonnenten mit soviel Papier? – Hier!
(Co abonenci robią z tak wielką ilością papieru? – A to! (w domyśle: wyrzucają do kosza albo zużywają w ubikacji)
Was ist's, das der Zeitung nach allem prophezeit werden könnte? – Ende! Ein seliges Ende!
(Jaką więc przyszłość można wobec tego przepowiedzieć gazecie? – Koniec! Wieczne odpoczywanie!)

Nawet dla osób słabo znających niemiecki jest oczywiste, że dowcip polega tu na quasi-„powtarzaniu” jak „echo” słów, fonetycznie brzmiących podobnie, *de facto* mających jednak kompletnie inne znaczenie. Każda próba przetłumaczenia musi pozbawić uroku ten niezwykle dowcipny tekst, pełen świetnych aluzji, oddający nie tylko nastrój, ale i codzienność praktyk dziennikarskich. Skądinąd wiemy, jak funkcjonowało w latach narodzin prasy wiele gazet. Adam Ochocki (2004, s. 15) przytacza w swym *Reporterze przed konfesjonalem, czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę* bardzo wymowny przykład:

No tak, ale co dać na czołówkę? Najchętniej widziano na tym miejscu sensacje lokalne. Wtedy gazeciarze, biegnąc przez miasto, na całe gardło wykrzykiwali tytuły i ludzie wrywali sobie gazetę z rąk. Sprawę załatwiał jakiś mord na tle rabunkowym, zabójstwo z powodu zawiedzionej miłości. Od biedy mogło to być włamanie w śródmieściu, ucieczka z więzienia albo spadek z Ameryki dla łodzian-

nina. Gdy brakło takich smakowitych kąsków i teleskryptor nic ciekawego nie doniósł, depešzowiec szedł na ustępstwa.

– Ma pan coś, panie Grynfeld?

– Dwa samobójstwa i pożar.

– Jakie samobójstwa?

– Kobieta wypila większą dozę jodyny, w stanie groźnym, karetka...

– To może pan sobie wsadzić, już pan wie gdzie.

– I skok z czwartego piętra. Śmiertelny.

– Co się paliło?

– Sadze w kominie.

– Dawaj pan ten skok, tylko ze szczegółami.

Innym przykładem jest „nieprzetłumaczalność” idiomów kulturowych. Oto wściekły szef (gazety?) piekli się z powodu stylu (jakiegoś) Izzydora. „Sam bies by się w tym nie połapał: czytam ten list po żydowsku, a brzmi to tak jakoś po rusku; przymierzam się czytać po rusku, to wydaje mi się, że jest po niemiecku, no i wreszcie kiedy chcę go czytać po niemiecku, to mam wrażenie, że napisał go jakiś Litwak!” (s. 30). Dowcip polega (by) tu na tym, że każda nacja posiada jakieś negatywne odniesienie do innej i pewne zjawiska postrzega przez pryzmat tegoż negatywnie nacechowanego stereotypu. Przykładem jest polskie powiedzenie „Siedzieć jak na tureckim kazaniu” albo „Czy ja mówię po chińsku?”. W takiej samej sytuacji Włoch pyta: „Parlo turco?” (*Czy ja mówię po turecku?*), Niemiec zaś, nie rozumiejąc jakiegoś zjawiska, dziwi się i stwierdza: „Das kommt mir spanisch vor” (*To mi się wydaje takie jakieś hiszpańskie*). W przytoczonym przykładzie idiomy kulturowe nabierają jednak znaczenia dosłowności – są ubraną w dowcipną szatę werbalną aluzją do różnorodności językowej środowiska, reprezentowanej tu przez Niemców, Żydów i zamieszkujących Łódź oraz okolice Litwaków, czyli Żydów z terenów Litwy.

Twierdzenie, że zamysłem autora zbioru było sportretowanie mentalności typowego „łodzermensa”, najlepiej ilustruje fragment jednego z dłuższych tekstów, którego kwintesencją jest następujący monolog. Młody i sprytny praktykant firmy „oświeca” starszego urzędnika:

Panie Hochberg – [...] ja myślę, że z wekslami jest jak z ludźmi: najpierw trzeba zapytać, kim taki człowiek jest, a potem, jak mu się powodzi. Najpierw trzeba pytać, ile ma lat i skąd pochodzi, a w przypadku weksli jest to data i miejsce ich wystawienia. – Potem pytamy, jak się nazywają ojciec i matka; w przypadku weksli wystarczy znać imię ojca, a to jest wystawca. – Wśród ludzi są tacy, którzy zawsze muszą pilnować innych: to są plotkarki. W przypadku weksli robi to ten, któremu należą się pieniądze, tego więc też trzeba znać. – Potem człowiek idzie do szkoły, a jako że jest wtedy przeciwnie jeszcze bardzo młody i miękki jak воск, to każdy, u którego się uczy, może wycisnąć na nim swój stempel; w przypadku weksli robią to żyranci. – No, a potem człowiek kończy szkołę

i wyrusza w świat i taki weksel pojawia się w naszym interesie. – Człowiek zawsze bardzo dokładnie wie, kiedy już się wszystkiego nauczył, a w przypadku weksli też należy to wiedzieć. – Ale jest jeszcze jedna rzecz: u ludzi nie wiadomo, ile ktoś jest wart [...] ale w przypadku weksli ich wartość musi być zapisana czarno na białym. W przypadku weksli trzeba też wiedzieć, jak długo będą w obiegu i gdzie należy je wykupić, ale człowiek nie wie, jak długo będzie chodził po tym świecie i gdzie zakończy swoje życie. No, ale musi też być jakaś różnica, bo inaczej wszyscy ludzie byłiby weksalami, a wszystkie weksle ludźmi. Niekiedy u ludzi zdarza się, że umierają śmiercią obywatelską – „Kiedy ich zesłał na Syberię”, mówi Benedek, ale ja myślę, że taki weksel też może umrzeć śmiercią obywatelską, gdy tylko opuści naszą firmę; a że o ludziach umierających śmiercią obywatelską trzeba wiedzieć, od jak dawna nie żyją, to i w przypadku weksli też należy o tym pamiętać (s. 26).

Na koniec przytoczmy wybór anegdot i dowcipów z omawianego zbioru w polskiej wersji językowej⁷. One najlepiej pozwolą wyrobić sobie pogląd o – śmiałem twierdzić – historycznej wartości pracy Wilfrieda Spectatora vel Reinholda Piel z dawnych Pabianic, tego miasta-satelity Łodzi z minionych lat, które nieodwracalnie zginęły w mrokach pamięci, a wraz z nimi jedyny w swym rodzaju, specyficzny typ człowieka z tych okolic, zwanego „lodzermenszem”.

Napisane jest w księdze

Pewien powroźnik dostarczał do fabryki linki konopne, które jednak już po trzech miesiącach do niczego się nie nadawały. Jednocześnie okazało się, że sznury zrobione były ze starych, zleżałych konopi, a tylko z wierzchu pokryte warstwą dobrego, świeżego materiału. Kiedy zażądano wyjaśnień, powroźnik wzruszył tylko ramionami i odparł: „No, przecież napisane jest w księdze: Ło dobrem zwięcążaj!”

Niech żyje praktyka i kwita!

„Panie Itzgleben, pan jesteś przecież dobry, doświadczony handlarz drzewem, powiedz pan więc, co to za drzewo?” „No, jakże ja mam panu powiedzieć, co za drzewo jest to drzewo, jak ono tu jeszcze rośnie na tym placu i ma liście i kwiaty? Zetnij je pan, a ja w dzień i w nocy zaraz poznam, co to za drzewo to drzewo”.

Warunkowo

Mojsze Geschwindmacher wydaje za mąż córkę, zamierza więc splajtować. Szlojmc Feingeruch szybko wyczuwa pismo nosem i kombinuje, jak by tu uratować pożyczone kiedyś Geschwindmacherowi kilkaset rubli. Udaje się zatem na ślub jego córki, a kiedy uroczystość dobiega końca, w obecności wszystkich gości staje przed Geschwindmacherem, mówiąc bardzo głośno i wyraźnie: „Mojsze, dla

⁷ Tłumaczenie z niem. M.P.

młodych niech będzie mazel tow, ja będę tobie życzył, żebyś ty oglądał swoje wnuki i prawniki, ale pod warunkiem, że ty mnie najpierw oddasz moje pieniądze!”

Aby handel szedł

Pewnego agenta zapytano kiedyś, jak udaje mu się przemieszczać po uliczkach na przedmieściach Łodzi, gdzie – jak wiadomo – jest wprawdzie najwięcej fabryk, ale i najwięcej błota. „No tak”, stwierdził: „Na piechotę nic da rady, ale w końcu jakoś idzie – trzeba tylko na bryczkę wsiąść, nerwy w garść wziąć i przez błoto brnąć!”

Ambitni szefowie

Mojsze Schwarzer: „Może pan mógłbyś dać mi posadę dyrektora w pańskiej tkalni?” Szef: „A pan dobrze znasz się na tej branży, żebyś pan mógł być dyrektorem mojej tkalni?” Schwarzer: „Co się znaczy się zna? Kiedy ja już będę ten dyrektor, to przecież wystarczy, że się znam na tkactwie, po co ja miałbym się jeszcze znać na branży?”

Dobra rada adwokata

Specjalnością adwokata Kniffmeyera jest udaremnianie grożących jego klientom, publicznych licytacji. Robi to w ten sposób, że dosłownie w ostatniej chwili wynajduje jakiś powód, by wyjednać odroczenie zastawu na czas nieokreślony, czyli jak to się tu mówi, spowodować „wstrzymanie”. Pewnego dnia Kniffmeyer zjawia się z ząszpioną twarzą w pokoju adwokackim. Na pytania kolegów o powód zmartwienia odpowiada, że jego żona właśnie zaczęła rodzić, a ich rodzinny lekarz wyjechał na kilka dni. „Jest na to pewien sposób”, stwierdza jeden z kolegów. „Widzisz, sąd akurat otwiera kolejne posiedzenie. Możesz z łatwością uzyskać dla żony wstrzymanie na kilka dni”.

Moja połowa, twoja połowa

Moja kawalerka miała bardzo cienkie ściany, toteż pewnej nocy podsłuchałem za ścianą taką oto rozmowę sąsiadującego ze mną małżeństwa: „Stary, nie słyszysz, że dzieciak się drze, weźże poruszaj kołyską; przecie to tak samo twoje dziecko jak moje!” – „Ach, dajże mi spać”, odpowiedział stary: „Pokołysz ty swoją połowę, a moja niech wrzeszczy!”

Wszystko wraca do punktu wyjścia

Kiedy Jankiel Pomeranc był w Łodzi przed dwoma laty, niejeden szewc czy krawiec, rzeźnik albo piekarz, słowem każdy pies Burck, zamieniał się w domorosłego fabrykanta. Ponownie zjawił się w Łodzi w 1911 roku, kiedy na rynku wyrobów manufakturowych zapanował kompletny spadek kursów i wyprzedawano za bezcen jedną fabrykę po drugiej. Zdumiony stwierdza: „Toż to prawdziwy cud od Boga! Dwa lata temu każdy szmaciarz zamieniał się w fabrykanta, a dziś z każdego fabrykanta robi się szmaciarz!”

W podróży

Dwaj panowie jadą pociągiem w przedziale pierwszej klasy. I jak to w podróży, nawiązują rozmowę: Skąd, dokąd pan jedzie? Z kim mam przyjemność? itd. Pierwszy przedstawia się: „Nazywam się Stein. Jestem Freiherr von und zu Stein” (*kamień*). Na to ten drugi: „Bardzo przepraszam, ja jednak jestem lepszy Stein – moje nazwisko Edelstein” (*kamień szlachetny, klejnot*).

Nerwowy gość

Cholera wie, co to się dzieje z tymi ludźmi! Wczoraj przy tym syberyjskim zimnie radzili mi: „Niech pan się tylko ciepło ubiera i nie denerwuje!” – Dzisiaj, kiedy panuje ten wściekły upał, mówią znów: „Niech się pan tylko nie przegrzewa i nie denerwuje!” – No to jak człowiek ma się nie denerwować!

Oko proroka

Żona pewnego oficera urodziła chłopczyka. Złożywszy świeżo upieczonemu tatusiowi obowiązkowe gratulacje znany z poczucia humoru wuj mówi do bardzo zadowolonego ojca dziecka: „Wiesz co, twój potomek będzie pewnie jeszcze większym wojennym bohaterem niż ty!” – „Dlaczego?” – „No, bo on już teraz ma nóżki jak szabelki!”

Wrażliwy

Kahlmeier je w restauracji obiad. Na deser są lody. Jego przyjaciel zwraca mu uwagę: „Wiesz, w twoich lodach utopiła się mucha” – „Jak to utopiła się?” – odpowiada tamten zdziwiony. „Nie utopiła się, tylko zamarzała”. I z zimną krwią dalej pałaszuje swoje lody.

Sztuka plastyczna i praktyczna

A: „Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem uczniem sztuk plastycznych: rzeźbiarz Hinz!” B: „A ja jestem mistrzem sztuk praktycznych: kasjarsz Kunz!”

Sprostowanie

Sędzia: „Świadek, proszę powiedzieć, czy Kraftmeier podsiniaczył powodowi obydwójce oczu?” – Świadek: „Nie, tylko jedno, bo drugie było zielone”.

Panowie

Pan Strohdrescher z firmy Strohdrescher & Co. zupełnie nieoczekiwanie zjawia się w kantorze i widzi, że jego urzędnicy stoją sobie w grupkach i w najlepszej oddają się rozmowom. Rozłoszczony podchodzi do nich i krzyczy: „Panowie! Jeśli wszyscy, panowie, byłiby tacy jak panowie, panowie, to, panowie, nie potrzebowalibyśmy panów, panowie!”

Doktor od interesów

Recepta, w jaki sposób pozwolić znów stanąć na nogi firmom, których właściciele noszą drogocenne nazwiska (takie jak: Goldmann, Goldstein, Goldfluss, Silberstein, Silbermann, Diament, Brylant, Szmaragd, Turkus, Rubin, Perła itp.).

Wskazania. Do stosowania w przypadku niekorzystnej koniunktury, zastoju w interesach, plajty, bankructwa, ogólnie przy wszelkiego rodzaju trudnościach płatniczych.

Historia choroby. Firma P. Silbermann i Golde nie jest w stanie wywiązać się ze swych powinności, dlatego informuje się ją o konieczności ogłoszenia bankructwa. Wierzyciele dostają wysokiej gorączki, a Silbermann dostaje się za kratki.

Terapia. Wobec Silbermanna: „Mann” zostaje zwolniony z więzienia, a pozostałego „Silbera” wraz z „Golde” wciela się do masy upadłościowej.

Działanie. Wyśmienite. Po dwóch tygodniach odwiedzający wierzyciele zamiast słabego pacjenta zastają na miejscu silny twór A. Silbermann & Co., który dzięki nieuszczerplonym środkom ponownie i w pełnym zakresie podejmuje wcześniejszą działalność.

Wolny jak ptak...

Jest taka miłość, za którą każdy tęskni,
lecz o to tę miłość nigdy nie boli głowa,
wędruje sobie raz tu, raz tam, bez słowa,
z rąk do rąk idzie, grunt by była zdrowa.

Jest taka miłość, za którą każdy tęskni,
lecz ona sama smaku swego nie zna;
i choć serce niejedno w popiół wnet zamienia,
sama jest jak lód zimna, serce ma z kamienia.

Nosisz tę miłość w kieszeni, przy sobie,
w twoim portfelu tkwi dobrze ukryta,
ale wystarczy najmniejsze pęknięcie,
już daje drapak a puszcza cię w trąbę.

Choć tak naprawdę trąbić nie potrafi,
musisz tańcować, jak ona ci zagra.
Za to ja gwizdę, kiedy inni psioczą,
nie chcę dla forsy umierać z tęsknoty!

Idzie plajta

Uśpiony już sklep i klient także śpi,
lecz jakiś cichy szept uparcie brzmi:
Ten mały Kohn, on niebawem splajtuje,
a i jego synowi plajta szyk popsuje.

Uśpiony już sklep, lecz jakaś myśl nagli,
krąży w mojej głowie i nie daje spać:
Cały ten interes wkrótce wezmą diabli,
a co będzie z handlem, czas zacząć się bać!

Uśpiony już sklep, a z czterech stron świata
 protest za protestem w petycję się splata.
 O serce wierszoklety, nie zazdrość bankrutom,
 bo i ty dnia pewnego znajdziesz się na brukul

BIBLIOGRAFIA

- Adamek R. (1998), *Krusche, Ender, Kindler – królowie bawełny w Pabianicach XIX-XX w.*, Katalog wystawowy, Pabianice.
- Adamek R., Nowak T. (2005), *650 lat Pabianic*, Łódź.
- Frejdlch K. (1973), *Uśmiech Ariadny. Antologia łódzkiego reportażu*, Łódź.
- Göppert K.-H. (1999), *So entstand der Lodzermensch*. W: Radziszewska K., *Gdzie są Niemcy z tamtych lat?*, Łódź.
- Katalog stałej wystawy, zatytułowanej *Pabianicer deutscher Herkunft in der Geschichte der Stadt Pabianice bis 1939*, prezentowanej w ewangelicko-augsburskim kościele św. Piotra i Pawła w Pabianicach.
- Mostowicz A. (1999), *Łódź, moja zakazana miłość*, Łódź.
- Ochocki A. (2004), *Reporter przed konfesjonalem czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę*, Łódź.
- Schlögel K. (1993), *Promenade in Jalta und andere Städtebilder*, Frankfurt a.M.
- Schuster F. (2008), *Wstęp*. W: Teplitzka B., *Portrety łódzkie*, Łódź.
- Urbankiewicz J. (1995), *Parchy, zwaby, goje*, Łódź.

Małgorzata Pótroła

„IN HOC SIGNO VINCES“ ODER VON ALTEN LODZER WITZEN (Zusammenfassung)

Der vorliegende Beitrag ist als ein Versuch zu verstehen, dem polnischen Leser eine recht seltsame Position aus der Reihe der deutschsprachigen Lodzica, nämlich die 1913 im Verlag August Grüning in Pabianice herausgegebene Sammlung von Witzen und Anekdoten mit dem Titel *Ne Mütze voll Witze aus Lodz und Pabianice*, näherzubringen. Der Verfasser des schmalen Bändchens, der sich hinter dem Pseudonym Wilfried Spectator verbirgt, ist Reinhold Piel, ein Deutscher aus Pabianice. Als Satellitenstadt von Łódź, der sich damals sehr rasch entwickelnden Textilmetropole, bildete auch Pabianice in jenen Jahren zweifelsohne ein Teil des in ganz Europa einmaligen und eigenartigen multikulturellen und multiethnischen Tigels.

Reinhold Piel stellte sich mit seinem Büchlein die Aufgabe, ein Sammelporträt der Mentalität des typischen Vertreters jenes Tigels von Kulturen und Sprachen zu zeichnen. In der mehrere disparate Elemente integrierenden Gemeinschaft funktionierte der Humor sicherlich als eine Art Sicherheitsventil, mit dessen Hilfe man bestrebt war, Fremdes zu „zähmen“ und Konflikte zu entschärfen. Scheinbar abstrakte, „auslachende“ Beispiele haben sich wahrscheinlich ebenfalls vortrefflich als Methode bewährt, andere diplomatisch zu sensibilisieren, aber auch eigene Nachteile und Unzulänglichkeiten mit Abstand zu sehen.

Der universale Charakter der Anekdote als literarisches Genre beruht u.a. auf ihrer Ahistorizität und Konkretheit zugleich, ihr narratives Werkzeug hingegen – die individualisierte Sprache des multiethnischen Milieus – liefert hervorragenden Stoff für sprachwissenschaftliche Forschung. Ein besonders interessanter Aspekt ist dabei vor allem die Frage nach der Übersetzbarkeit bzw. Unübersetzbarkeit von Kulturidiomatik.

Um dem Leser entgegenzukommen und ihm den historischen und informativen Wert der besprochenen Sammlung bewusst zu machen, wird im Anhang – zum ersten Mal in der polnischen Sprache – eine Auswahl von besonders charakteristischen Witzen der genannten Sammlung von R. Piel präsentiert.